Mikrofon

SZCZEGÓLNY PRZYPADEK ANNY C.

Racibórz, rok 1921.

To był koniec pracy. Anna C. po raz ostatni wyżymała mokrą szmatę do wiadra stojącego na środku szpitalnego korytarza, kiedy usłyszała za sobą zbliżające się kroki. Nie odwracając się, przesunęła wiadro pod ścianę, żeby zrobić przejście i pochyliła się, by owinąć wypłukaną szmatę wokół miotły.

- A cóż to Aneczko, ty jeszcze tutaj? – poderwał ją głos doktora Rautscha. – Myślałem, że to już dziś ten twój wielki dzień. Wracasz do domu.

Wyprostowawszy się, Anna smutno spojrzała w głęboko osadzone oczy dyrektora szpitala. Zawsze była oszczędna w słowach, a tym bardziej teraz, więc tylko skinęła głową.

- No to powodzenia i pamiętaj co ci mówiłem – doktor poklepał ją po ramieniu. – Przemyśl to, Aneczko.

Kiedy odszedł, Anna jeszcze dłuższą chwilę spoglądała w ślad za nim, dopóki nie zniknął za zakrętem korytarza.

* * *

Z początku nie zwracała uwagi na dziwne ataki duszności i kaszlu. Ot, przeziębienie i tyle. Nie było taryfy ulgowej. Czasem podczas pracy w polu miała wrażenie, że zaraz się udusi, ale po chwili ataki mijały i ze zdwojonym zapałem pochylała się nad kopaczką, lub grabiami.

W końcu pewnego razu straciła przytomność. Wtedy ojciec wziął mały wózek, którym wozili trawę dla kozy, wyłożył go sianem, i na takim „posłaniu” zawiózł Annę do doktora w Chałupkach. Okazało się, że to dusznica i trzeba do Raciborza, do szpitala. Tutaj zajął się nią doktor Rautsch.

Już po tygodniu inhalacji nastąpiła wyraźna poprawa. Przy okazji dowiedziała się, że teraz na tę chorobę mówi się astma. Po kolejnym tygodniu doktor stwierdził, że Anna może już wrócić do domu, do Olzy.

I tu pojawił się problem. W międzyczasie na skutek plebiscytowych rozstrzygnięć, Racibórz pozostał w Niemczech, ale rodzina wieś Anny,Olza została przyznana Polsce. Niestety, Anna C. nie miała dokumentów uprawniających do przekroczenia granicy. Był to oczywisty biurokratyczny absurd, ale *ordnung mus sein*, więc nie było gadania.

W ten sposób Anna C. stała się mimowolną ofiarą burzliwej historii Górnego Śląska.

Anna miała brata Antona, któremu udało się zrobić karierę, bo został jakimś urzędnikiem w Gliwicach. Wprowadzony w temat doktor Rautsch, skontaktował się z Antonem i ten obiecał, że sprawę załatwi, ale z powodu poplebiscytowego zamieszania, musi to trochę potrwać. Anton powiedział jeszcze, że ureguluje wszelkie finansowe zobowiązania. Nie było to jednak konieczne, bo nieoceniony doktor znowu okazał się mężem opatrznościowym.

- Będziesz Aneczko, mogła pozostać w szpitalu – powiedział lekarz – ale już nie jako pacjentka, ale jako… pracownica. Pomożesz w kuchni, w pralni i gdzie tylko będzie potrzebna dodatkowa para rąk. W zamian dostaniesz kąt do spania i jedzenie, a nawet kilka marek kieszonkowego.

- Jak to? – wyjąkała zaskoczona Anna C. – Więc tak można?

Rautsch uśmiechnął się szeroko.

- Na razie to ja decyduję, co można, a co nie. Powiedzmy, że jesteś naszym szczególnym przypadkiem.

Dopiero teraz, kiedy mogła wychodzić na zewnątrz, Anna miała okazję dobrze przyjrzeć się szpitalnemu budynkowi. Gmach był naprawdę okazały: czerwona, klinkierowa cegła, aż lśniła w słonecznych promieniach, a podparte kolumnami zadaszenie nad głównym wejściem, kojarzyło się Annie z jakimś pałacem. Mogła tak myśleć, bo nigdy żadnego pałacu nie widziała. Po lewej stronie, wzdłuż najnowszego skrzydła rozpościerał się cmentarz, a bliżej ulicy Augusty, zaczęto jakieś roboty ziemne przy planowanym tu nowym parku miejskim.

- I jak ci tu u nas, Aneczko? – zagadnął pewnego dnia ordynator.

Anna C. nigdy nie była zbyt wylewna, więc tylko nieznacznie skinęła głową i odparła krótko:

- Dobrze, bardzo dobrze.

Doktor już miał odejść do swoich zajęć, ale zatrzymała go pewna myśl.

- Słuchaj dziewczyno, czy pomyślałaś o tym, że mogłabyś tu zostać na stałe?

Anna w odpowiedzi tylko rozszerzyła oczy.

- No wiesz, jesteś bardzo pracowita – ciągnął doktor. – Hilda z kuchni nie może się ciebie nachwalić. Jak mi wiadomo, u ciebie w domu się nie przelewa, a tu miałabyś stałą pracę. No, udało nam się trochę ciebie podleczyć, ale ta choroba w tobie jest i na pewno znowu się odezwie. W razie czego, byłabyś na miejscu. Wiem, że teraz trudno ci się zdecydować, ale kiedy pojedziesz do domu, dam ci zaświadczenie, że jesteś tu potrzebna, a brat ci na pewno pomoże z dokumentami. Zastanów się.

Anna przez chwilę zbierała się w sobie, aż w końcu odważyła się zapytać:

- Panie doktorze, niech mi pan powie, ale tak szczerze, czy ze mnie jeszcze coś będzie?

Doktor głęboko westchnął i odezwał się, pozornie nie na temat.

- Aneczko, starość jest czymś okropnym. Masz w domu kogoś starego?

Przed oczyma jej stanęli starzyk i starka gnieżdżący się w mikroskopijnym pokoiku, który równocześnie był spiżarnią, w której zwykle i tak nie było czego magazynować. Skinęła głową.

- No widzisz – doktor pokiwał głową. – Nie będę ukrywał, że jesteś poważnie chora. Może to ci się wydaje niesprawiedliwe, ale pomyśl, że przynajmniej trudy starości zostaną ci oszczędzone.

- Jak to? – Anna starała nie dopuścić do siebie tego, co sugerowały słowa ordynatora.

- Ile masz lat, dwadzieścia? – zapytał doktor, i dokończył nie czekając na odpowiedź. – Będziesz miała szczęście jak dożyjesz trzydziestki.

Wszedł do swojego gabinetu pozostawiając osłupiałą Annę na środku korytarza.

Świadomość nieuchronnego końca wzmogła w Annie chęć jak najszybszego powrotu do domu. Choć pierwsze dni były nieustannym odliczaniem do powrotu, to już drugim tygodniu jej „ponadprogramowego" pobytu zdarzyło się coś, co ostudziło jej tęsknotę za domem.

Właśnie wynosiła wiadra z medycznymi odpadami do specjalnej spalarni, kiedy jakoś tak przez skórę poczuła na sobie czyjś wzrok. Rozejrzała się i zobaczyła stojącą w pobliżu przeraźliwie chudą szkapę zaprzęgniętą do niewielkiego wozu z węglem. Obok konia stał niepozorny wozak. Czarny od węglowego pyłu, niewysoki, lekko przygarbiony i… wpatrywał się w nią niesamowicie błyszczącymi oczyma. Speszona Anna wzruszyła ramionami, wzięła puste wiadra i wróciła do szpitalnego budynku.

To chyba był początek.

Następnego dnia Anna zobaczyła go znowu. I kolejnego też. W końcu zaczęła się zastanawiać, po co on tak często tu przyjeżdża? Przecież nikt, nawet tak wielki szpital, nie kupuje węgla codziennie. Z zadumy wyrwał ją głos siostry Anastazji.

- Masz iść do kuchni, Hilda cię potrzebuje.

Wszyscy wiedzieli, że z szefującą kuchni Hildą lepiej żyć w zgodzie, toteż Anna nie wzbraniała się nawet przed najgorszą robotą, dzięki czemu jadała jak nigdy w domu. Bez szemrania ruszyła ku prowadzącym w dół schodom i nawet nie zauważyła, że odprowadzającemu ją spojrzeniu siostry Anastazji towarzyszył dziwny uśmieszek.

W miarę zbliżania się do kuchni dawał się wyczuć coraz intensywniejszy zapach gotowanej kapusty. W przestronnym pomieszczeniu, obok wielkich parujących kotłów ujrzała rozmawiającą z kimś rozłożystą Hildę. Kiedy się zbliżyła, w rozmówcy kucharki z zaskoczeniem rozpoznała… węglarza! Był jakiś taki inny i Anna dopiero po chwili zrozumiała, że jest po prostu czysty,

- To jest Walter – Hilda wyjaśniła Annie. – Ma ci coś do powiedzenia, więc idźcie do ogrodu. Tylko nie siedźcie za długo, bo tu jeszcze jest trochę roboty. No… – machnęła ścierką – idźcie już.

Węglarz niezdarnie skinął głową i wskazał Annie, by szła przodem. Ruszyła jak w transie wciąż nie rozumiejąc o co chodzi. Usiedli na jednej z ławek ustawionych na szpitalnym dziedzińcu.

Milczeli. Anna nie wiedziała, czy powinna się odezwać, ponieważ taka sytuacja była dla niej czymś nowym, a i Walter nie czuł się zbyt pewnie, bo tylko ukradkiem zerkał na Annę nerwowo skubiąc połę swojej mocno sfatygowanej marynarki. Na tym dziwnym milczeniu minął im mniej więcej kwadrans.

- Będę musiała już iść – powiedziała Anna, wstając.

Walter podniósł się również. Przez krótką chwilę stali twarzą w twarz. Niezręczną sytuację przerwał węglarz:

- Jutro też przyjdę. Wieczorem, po robocie – po tych słowach skinął głową i odszedł.

Do końca dnia Anna trwała w oszołomieniu. Nie wiedziała co myśleć o tej całej sytuacji. Na szczęście nie miało to wpływu na jej pracę. Wszystkie obowiązki wykonywała z automatyczną poprawnością.

Odtąd spotykali się niemal codziennie, ale była to bardzo dziwna znajomość. Kiedy przychodził, siadywali na jednej z ławek i prawie wcale się nie odzywali. Najwidoczniej obojgu odpowiadał ten stan rzeczy i wystarczała im sama wzajemna obecność. Anna ze zdziwieniem

przed samą sobą musiała przyznać, że oczekuje tych wieczornych odwiedzin. W drugą sobotę ich znajomości Walter zaprosił ją na niedzielny spacer po mieście. Miała za sobą ciężki dzień, ale i tak bardzo długo nie umiała zasnąć.

W niedzielny poranek jedna z sióstr podarowała Annie nową białą chustę i takiż fartuch. Dziewczyna czuła się bardzo nienaturalnie wystrojona. Walter miał na sobie wyświecony garnitur, a kołnierzyk jego koszuli, choć czysty, był mocno postrzępiony, lecz Anna zdawała się tego nie dostrzegać. Choć z początku się wzbraniała, w końcu nieśmiało ujęła jego ramię.

Nie była to z jej strony kokieteria. Wiedziała, że nie jest ładna. Twarz miała niesymetryczną, a sylwetkę chudą, wręcz żylastą. Nigdy nie planowała założenia rodziny. Była takim rodzinnym wołem roboczym, co było o tyle realne, że w jej rodzinie nigdy nie było krowy. Cały żywy inwentarz stanowiły dwie kozy i kilka kur.

Co innego Zofia, jej o pięć lat starsza siostra. Niewysoka, z rumianą, zawsze skorą do uśmiechu buzią. Od najmłodszych lat miała powodzenie, tylko szczęścia jej brakowało. Zaręczona była już jako osiemnastolatka. Niestety, jej narzeczony zginął w wypadku na kolei. Drugi wybranek poległ podczas wielkiej wojny, a trzeci zginął od kuli w powstaniu. Teraz, dwudziestosiedmioletnia Zofia uchodziła za kobietę przynoszącą pecha i choć nadal mogła się podobać, ewentualni fatyganci omijali ją z daleka.

W domu bieda aż piszczała. Z dziesięciorga dzieci, tylko siedmioro przeżyło, ale to i tak wiele gąb do nakarmienia. Ojciec… hm, choć łagodny i poczciwy, to wracając z targu po sprzedaniu wyplatanych koszy, zawsze zaglądał do karczmy. Cóż z tego, że się nie awanturował, tylko grzecznie kładł spać, skoro do domu przynosił tylko resztki i tak niewielkich pieniędzy. Dobrze, że ona, Anna, i Zofija chodziły co nieco zarobić na „pańskim”.

Niedawno zabrały ze sobą młodszą Tinę. Ech, tylko wstydu się najadły. To nic, że Tina była najmądrzejsza z całej rodziny, kiedy, pomimo ukończonych piętnastu lat, w polu kompletnie sobie nie radziła. Po kilku godzinach pracy po prostu się przewróciła i trzeba ją było cucić.

Anna z Walterem wyszli tyłem obok kostnicy wprost na ulicę Opawską i skierowali się w stronę rynku. Kiedy przechodzili obok kawiarni „Residenz”, niemal wpadło na nich jakieś wychodzące stamtąd towarzystwo, dwie młode kobiety z partnerami. Anna jeszcze nigdy nie widziała takich kolorowych sukien i kapeluszy.

Jedna z kobiet spojrzała na nich z rozbawieniem. Bezceremonialnie wzięła Waltera pod rękę.

- Ooo, jaka z was ponura para! – zawołała chichocząc. – Chodźcie z nami, a pokażemy wam jak się bawić…

Walter wyrwał się kobiecie, poczym złapawszy Annę za rękę, pociągnął ja za sobą, aby jak najdalej od ścigających ich, drwiących uśmieszków.

Zszokowana Anna bez słowa pozwoliła się prowadzić ulicą Nową. Dopiero obok placu Marcelego nieco ochłonęła.

- Dlaczego oni byli tacy… tacy – nie umiała znaleźć odpowiedniego słowa – dziwni jacyś?

- To nie są dobrzy ludzie – wyjaśnił Walter krótko. – A te kobiety to były te… no wiesz.

- Naprawdę? Och! – Annie nie mieściło się to w głowie – Myślałam, że to się robi z biedy, a one miały takie piękne suknie…

- Widocznie to były takie lepsze.

Anna oblała się rumieńcem i na wszelki wypadek dyskretnie się przeżegnała. Tymczasem znaleźli się obok Nowego Targu i jakby na zamówienie nad dachami kamienic zamajaczyła iglica wieży kościoła Wniebowzięcia NMP.

Kiedy znaleźli się przy wejściu na Rynek, Walter wskazał kamienicę na rogu Dworcowej i Nowej.

- Wejdźmy tutaj – zaproponował.

Anna myślała, że chodzi mu o mieszczącą się na dole drogerię, ale nie. Poprowadził ją ku wejściu do mieszczącej się na piętrze, najszykowniejszej w Raciborzu kawiarni. Wielki szyld z napisem „Ring Cafe" już z daleka przykuwał uwagę.

Nigdy nie była w żadnym lokalu, jeśli nie liczyć kilku wizyt w karczmie, skąd wyprowadzała pijanego ojca, a to tutaj to było coś całkiem innego. Nawet nie wiedziałaby jak się tam zachować.

- Nie, nie mam na nic ochoty – wzbraniała się.

Walter okazał się jednak zaskakująco uparty. Przycisnął ramię Anny i śmiało skierował się ku drzwiom. Odźwierny we fioletowej liberii ze złotymi guzikami, spojrzał na nich nieco zdziwiony, ale usłużnie wpuścił ich do środka.

Na górę wiodły schody z ozdobnymi, pięknie rzeźbionymi poręczami. Kierownik sali również obrzucił ich krytycznym spojrzeniem, jednak zaproponował im dwuosobowy stolik przy oknie. Podeszło do nich dwóch kelnerów, jeden od win, a drugi od deserów.

Walter wpatrywał się w karty z różnymi obcobrzmiącymi nazwami, a na widok cen mina mu się wydłużyła. Zaczął nerwowo potrząsać nogą, jakby wystukiwał jakiś rytm.

- Zamów sobie coś – podsunął Annie kartę deserów. – Jakieś ciastko, albo co.

- A ty, będziesz coś jadł? – zapytała.

- Nie, jakoś nie mam ochoty na słodkie.

Anna domyśliła się, że nie o ochotę tu chodziło.

- Wiesz, ja jakoś też nie – powiedziała. – Wystarczy mi zwykła lemoniada.

Walter nie był w stanie ukryć ulgi.

W oczekiwaniu na zamówienie, Anna ciekawie chłonęła wszystkie szczegóły wystroju sali, jakby przeczuwając, że może już nigdy nie będzie miała podobnej okazji. Nawet nie umiałaby nazwać tych żyrandoli, kinkietów i tapicerowanych kanap. Wystarczyło, że był to luksus, którego nie myślała kiedykolwiek ujrzeć. Choć oboje z Walterem byli czyści i ubrani najlepiej jak mogli, zdawali sobie sprawę, że zdecydowanie tu nie pasują.

Kilka stolików dalej siedziała para w średnim wieku. Zamówili desery w ogromnych pucharach, kawę i wino. Pewnie dlatego kelner tak im nadskakiwał, bo przed Anną po prostu postawił butelkę i szklankę. Sama musiała sobie nalać.

- Byłeś tu już kiedyś? – zapytała Waltera.

Pytanie było retoryczne, bo jak na dłoni było widać, że nie. To z pewnością nie był lokal dla biednego węglarza. Dla niej zresztą też nie. Nie czuli się tu dobrze, więc nie zabawili długo. Po wizycie w wytwornej „Ring Cafe", rynek z rozwrzeszczaną dzieciarnią i nawołującymi kwiaciarkami wydawał im się swojski i niemal przytulny. Anna zwróciła uwagę na mnóstwo biało-czerwono-czarnych flag powiewających z okien.

- Co to, jakieś święto było? – zapytała.

- Nie, to tylko po plebiscycie zostało. Różne pochody tu były – odparł. – Ja do polityki się nie mieszam, byle robota była.

Poszli nad Odrę. W parku zamkowym na niewielkiej scenie przygrywała orkiestra, a kilka par nawet tańczyło. Wtedy po raz pierwszy Walter otworzył się przed Anną.

Był najmłodszym synem węglarza z ulicy Kolejowej. Choć wszyscy ciężko harowali trudno było związać koniec z końcem. Marzył, że kiedyś i jemu uda się kupić własnego konia i wóz, ale na razie to były mrzonki.

- Anno, mam dla ciebie dobrą wiadomość – spod krzaczastych brwi spoglądały na nią życzliwe, choć zmęczone oczy doktora Rautscha. – Z Gliwic telefonował twój brat. W przyszłym tygodniu przyśle twoje nowe dokumenty, więc będziesz mogła wrócić do domu. Cieszysz się?

Czy się cieszyła? Z czego…? Z perspektywy codziennej, ciężkiej harówki? Z maleńkiego domku, w którym gnieździ się dwanaście osób? Z permanentnego głodu na przednówku? Owszem, tęskniła za rodziną, ale z drugiej strony… tu miała co dzień ciepły obiad, czyste ubranie (dotąd nawet nie wiedziała, że można żyć tak czysto). Pewnie, że tu też była praca, ale była silna i wytrwała, a w dodatku miała zapewnione te całe, jak im tam… aha, inhalacje. Poza tym, a może przede wszystkim, był tu Walter.

- Za kilka dni będą już moje papiery – wyznała Anna podczas wieczornego spotkania z Walterem. – Już sprawdziłam, że pociąg do Chałupek mam o wpół do czwartej po południu. W nas w Olzie też jest kolej, ale teraz przez granicę nie ma połączeń, więc czeka mnie jeszcze godzinny spacer.

Mężczyzna siedział jak skamieniały. Po chwili, tak jak w „Ring Cafe”, zaczął nerwowo pocierać ręce i potrząsać nogą. Nagle przestał.

- Ożenię się z tobą – wyrzucił z siebie, nawet na Annę nie spoglądając.

- Nie żartuj sobie ze mnie – odparła oschle.

- Ożenię się z tobą – powtórzył Walter z uporem skarconego dziecka.

Potem spojrzał na nią i… uwierzyła mu.

- Ale ja nic nie mam – wzbraniała się.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ja też nie jestem żaden Sobtzick, ani Doms – Walter wymienił nazwiska najbogatszych raciborskich rodzin. – Ojciec obiecał mi pomóc przy kupnie własnego konia, a wiem, że ty pracy się nie boisz. Czego trzeba więcej?

Poza książeczką do nabożeństwa, Anna nigdy nie przeczytała żadnej książki. Nie miała głowy nabitej romantycznymi historiami, ale nawet ona poczuła euforię połączoną z rozczarowaniem. To już wszystko? Więc argumentami za ożenkiem miały być jej pracowitość i ten jego przyszły koń? Cóż, widocznie tak właśnie to się dzieje.

Niestety, musiała mu powiedzieć jeszcze o czymś.

- Jestem chora. Doktor Rautsch powiedział…

- Wiem – przerwał jej Walter. – Rozmawiałem z nim. Doktorzy też wszystkiego nie wiedzą. Pokażemy mu, że się myli. Będziemy żyć, żyć i… żyć.

W kuchni wszystko leciało Annie z rąk.

- Hola! Co się z tobą dzieje? – spytała Hilda surowo.

- Walter chce się żenić – wyznała zawstydzona.

- I bardzo dobrze – Hilda rozpromieniła się w uśmiechu. – To dobry, uczciwy chłopak. Będziecie do siebie pasować.

- Ale ja… doktor powiedział, że nie dożyję trzydziestki… to jak ja mam…?

Hilda z sykiem wypuściła powietrze.

- Walter wie? – spytała po chwili.

- Wie i mimo to…

- No to nie ma się nad czym zastanawiać. Lepiej dobrze przeżyć dziesięć lat, niż się męczyć przez kilkadziesiąt… wiem coś o tym. A ty co, chcesz go?

- Ja… sama nie wiem. Chyba tak.

* * *

Trudno było kogokolwiek winić. Po prostu koń się spłoszył. Kiedy Walter próbował wyjechać z ulicy Ogrodowej, Opawską w kierunku Nowych Zagród pędziła chluba raciborskich strażaków – nowiutki wóz bojowy. Nie wiadomo, czy koń bardziej przestraszył się prędkości tego auta, czy też głośnych dzwonków alarmowych. Dość, że ta zawsze spokojna, zbiedzona szkapa gwałtownie szarpnęła się w prawo, ale wóz wraz z siedzącym na koźle Walterem potoczył się jeszcze kawałek do przodu wprost pod koła strażackiego wozu.

Huk, trzask, zgrzyt, krzyki przechodniów i rzężenie konia.

To był koniec. Koniec planów, marzeń… koniec wszystkiego.

Po pracy Anna oddała siostrom fartuch i chustkę. Mogła je zatrzymać, ale nie chciała, bo boleśnie jej się kojarzyły. Zaopatrzona w dokumenty i niewielki węzełek, otumaniona bólem, wciąż panna, ale jakby już wdowa, wchodziła po schodach do wspaniałego budynku dworca kolejowego.

* * *

Anna C., jakby na przekór diagnozie doktora Rautscha, po bardzo pracowitym życiu zmarła dopiero w roku 1985, przeżywszy lat 86. Nigdy nie wyszła za mąż i nigdy już nie odwiedziła Raciborza.

Koniec